



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

nie udałoby się także z wodą sodową lub jakąkolwiek gazową,
bo i tu przecież gaz ciągle unosi się w górę.

ŻNIWA.

Już na łanach kłos dojrzeła
Już przepiórka nagli żąć,
Owoc już rumieni drzewa,
Świat pod plonem zda się giąć.

Wnet nadejdzie czas dożynek
Skrzypka rażno dźwięknie nam,
Raj dla chłopów i dziewczynek
Raj jedyny jaki znam!

Niczem wszelkich zabaw blaski,
I widowisk, balów czar,
I mdlój sławy czcze oklaski
Wśród światowych dziwactw chmar...

Niczem, w obec téj radości
Jaką żniwa rozkosz technie,
Gdy wśród swoich i wśród gości
Sierp i kosa zboże tną.

Niczem... bo ten sierp i kosa
Przygotują ludziom chleb
Drogi nam jak ziemi rosa
I jak światło jasných nieb.

Świeć się złota żniwa poro
Brzmiąca pieśnią w niebios strop,
Gdy radością ludzie gorą
Wiążąc chlebo-dajny snop!



Doświadczenie fizyczne.

Rysunek przedstawia sztuczkę, która już wymaga przyborów wykwintniejszych, a głównie wina szampańskiego. Wi-no to musuje, bo ma w sobie dużo gazu, gdy więc wrzucimy w nie odrobinę winogron, do powierzchni ziarenek owocu przylegają bulki gazowe i nakształt malutkich baloników unoszą je w górę. Na powierzchni pękają, gronko opada głębiej, tu powtarza się znowu toż samo, i tak owo gronko, ku ucie-sze patrzących podnosi się raz po raz zwolna i potem znów opada. Nie zawadzi jednak spróbować, czy doświadczenie to

RYGI-KULM

Wspomnienie z podróży.

Przejeżdżając przez Lucernę, zwiedziliśmy górę Rygi, która znajduje się na przeciwnej stronie jeziora Czterech Kantonów, (Vierwaldstättersee). Chcąc się dostać do jej podnóża, trzeba wpraw parostatkiem dopłynąć do Witznau, z kądem dopiero odchodzi stroma kolej, prowadząca aż do hotelu Rigi-Kulm, który znajduje się na samym szczycie góry. Sam pociąg jest też od zwykłych zupełnie odrębny, wagon jeden zawsze, otwarty ze wszystkich stron, a opatrzone tylko lekkim daszkiem u góry, przypominał mi nasz letni tramwaj warszawski; lokomotywa zaś pod górę nie ciągnie lecz popycha jadących. Trzeci, środkowy rząd kół jest zębaty, i ma odpowiednie szyny, w celu zabezpieczenia od nagłego cofnięcia się pociągu w dół, z powrotem zaś aby umiarkować zbyt silny rozpęd. Pochyłość drogi po której jedziemy, jest nie do uwierzenia ogromna, i na podróżnym sprawia zrazu niemałe wrażenie, zwłaszcza iż z jednej strony, rozciąga się majestatycznie całe jezioro, i ma zda się ochotę pochłonąć nas wszystkich. Jednocześnie jednak jest to tak piękny widok, iż trudno oczu oderwać, od tej masy wód ciemno seledynowego koloru. Tymczasem mijamy stacje jedną po drugiej, aż nareszcie zatrzymujemy się na połowie drogi do szczytu, w Rigi-Kaltbad. Jeden z towarzyszy podróży, objaśnia nas, iż jest to także prześliczny zakątek, gdzie zwykle mnóstwo osób przyjeżdża dla leczenia się zimną wodą. Niechcąc stracić tej sposobności, wysiadamy poznać się z tą miejscowością, aby pojechać dalej następnym pociągiem, który ma iść za godzinę. Na wstępie uderza nas duży Kurhaus, (główny punkt, w którym się urządzają zebrania i zabawy dla gości kąpielowych) z obszernym tarasem zapełnionym, spacerującymi. My jednakże nie tam zdążamy, nęci nas zieloność drzew wychylających się z poza domów, i wypytawszy się o drogę do parku, udajemy się w tę stronę. Jesteśmy zupełnie zadowoleni z wyboru, drzewa są piękne, starannie utrzymane, altanki, grupy krzewów malowniczo rozrzuconych, wszystko składa się na uprzyjemnienie widoku spacerującym; co jednak najwięcej przyczynia się do ozdoby ogrodu, poczęści swą oryginalnością, to dosyć duże skaliste, czarne odłamy, przypominające trochę węgiel kamienny. Tworząc liczne groty lub miniaturowe góry, mienia się one prześlicznie w słońcu, gdyż woda się z nich sączy, i gdzieś tam tworzy nawet małe strumyki. Sliczna to miejscowość, to też godzina upłynęła nam jak chwila i nie chciało się jechać dalej. Zatrzymawszy się już tylko w Rigi-Staffel, stanęliśmy na koniec na samym szczycie. Stacja jest cokolwiek niżej umieszczona niż hotel, chcąc więc ujrzeć całą panoramę w około, trzeba iść jeszcze pod górę kilkadziesiąt kroków. Tu z jednej strony widać całe jezioro spokojne, ciche, możnaby myśleć iż to jedna olbrzymia tafla szklana, gdyby nie lekki wietrzyk, który je marszczy w zaledwo dostrzegalne fale. Zdaleka widać mały punkcik czarny, nad którym po chwili dostrzegamy lekką chmurkę, coraz to wyraźniej rysując się kształty parowca, aż nareszcie kiedy się zbliża do Witznau, które jest teraz u stóp naszych, można już dokładnie rozróżnić namiot na pokładzie, i pasażerów mierzących okiem z niecierpliwością przestrzeń, jaka, ich dzieli od upragnionego celu wycieczki. Z drugiej strony dwa jeszcze jeziora otaczają pierścieniem łańcuch Rygi; są to: Lowersee i Zugersee, są one o wiele mniejsze od poprzedniego, szczególniejsze... Dalej widzimy olbrzymią przestrzeń zasianą masą gór większych; są one zupełnie odmienne od Alp tyrolskich, o ile tamte są nagie, po większej części wapienne, a więc białe, te pokryte zielonością stanowią przyjemny dla oka widok, szczególniejsze gdy słońce wynurzy się w całej pełni z poza obłoków, i ozłoci swymi promieniami ich szczyty. Zabawnem jest mieć tuż blisko nad głową chmury, właśnie gdyśmy się już zabierali do odwrotu, jedna z nich zniżyła się jeszcze bardziej, i w postaci nadzwyczaj gęstej mgły, okryła cały szczyt góry taką ciemnością, iż o kilka kroków nie można było nic rozpoznać. Wyobrażam sobie iż owe sławne mgły na

ulicach Londynu, muszą być podobnemi do tej. Hotel jest ogromny, o dwóch skrzydłach, zapewne jednak nigdy nie branknie tu lokatorów, gdyż niema dnia w którymby nie przybywał na Rigi-Kulm tłum gości, podziwiających wschód słońca. Przeważnie można tu spotykać Anglików, poowijanych w grube pledy, i z takim przejęciem wpatrujących się w obraz jaki mają przed oczyma, iż pewno żadna ludzka siła, nie zdołała by oderwać choć na chwilę ich wzroku, od podziwiania tych arcydzieł natury. Trochę wyżej jeszcze od hotelu, handlarze rozstawiają swoje stoliki z rozmaitemi przedmiotami tutejszego wyrobu, jak np. obsadki do pisania z widoczkami hotelu Kulm, lub fotografii całej drogi spadzistej, sprzedają także wiązanki górskich szarotek, (Edelweis) że zaś każdemu jest przyjemnie mieć jakąś pamiątkę z odbytej wycieczki, zręczni kupcy korzystają z tego i ceną podwójnie każdy drobiazg. Tak się tu przyjemnie czas spędza, coraz to nowe odkrywając cuda, iż ze smutkiem żegnałem tę miejscowość, aby w dalszą się puścić wędrówkę.

Z. P.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

— Wspomniałeś pan jeszcze trzecią osobliwość, którą wiesz, co to jest takiego?

— Jaszczurka rogata, *Metopoceros cornuta*, rodem z San Domingo.

— Do licha! nie wiedziałem że są jaszczurki rogate. Pokażże ją pan!

— Bardzo chętnie—odrzekł Tygrys i zawołał na majtkę, który wkrótce przyniósł w klateczce napelnionej ziemią wilgotną i trawą, to oryginalne stworzenie.

Przypomniało mi ono staroświeckie malowidło widywane w korytarzu kościoła Dębowej Woli. Malarz mający widocznie fantazję bardzo bujną, a znajomość zoologii bardzo małą, przedstawił na niem piekło — a w tem piekle, wśród potępieńców wyglądających z czerwonych płomieni, uwijały się krety z koguciami głowami, ryby ze skrzydłami i nietoperze z ludzkimi twarzami. Nieraz gdy przypatrywałem się temu obrazowi, włosy stawały mi na głowie. Owa jaszczurka, małe stworzenie, potwornie wyglądało. Na przodzie głowy, sterczał jej wyrostek w kształcie rogu, a od dolnej szczęki opuszczała się fałda ze skóry, podobna do sztywnej brody wykutej z kamienia. Oprócz tego, po obu stronach pyska zwieszały się obszerne torby, przeznaczone prawdopodobnie do przechowywania pokarmów. Spłaszczony ogon służy jej pewnie do obrony. Wrażenie jakie uczyniła na mnie ta jaszczurka, było zarazem potworne i śmieszne.

— Czem ona żyje? — zapytałem Tygrysa.

— Owadami podobno, chociaż całą drogę częstowałem ją surowem mięsem, listkami kapusty i nie pogardzała niemi. W ojczyźnie swęj mieszka w norach podziemnych. Strasznie wygląda, nieprawdaż? Ale nie sądzicie jej z pozoru; jest to stworzenie niewinne i łagodne. Napadnięte najczęściej ucieka, a gdy widzi że ucieczka jest niemożliwą, stara się przynajmniej swoją powierzchownością odstraszyć napastnika, co też w niektórych razach skutkuje.

Ponieważ umiem trochę rysować, więc zdjąłem naprędce wizerunek jaszczurki i posyłam go Szanownej Redakcyi. Może się na co przyda.

Słońce, acz coraz częściej chowające się za chmury, odbyło już połowę swęj drogi dziennęj; zbliżała się godzina obiadowa. Zastawiono stół na pokładzie, i wszystko na co tylko spiżarnia okrętowa zdobyć się mogła, umieszczono na nim — a więc ryby morskie zimne i gorące, jaja mew, konserwy owocowe w puszkach, homary, crewety, szynkę wędzoną



Jaszczurka rogata.

i gotowaną, obfitość wina i porteru. Wznoszono toasty za pomyślność trzech monarchów, a przy każdym Mewa najobficiej zaopatrzona w amunicję, dawała ognia. Po obiedzie pożegnaliśmy gościnnego gospodarza, i każdy powrócił na swój okręt. Płynęliśmy oddał razem: najprzód Mewa, potem Ametyst, a na ostatku Narcyz.

Ale dzień nie miał się skończyć tak wesoło, jak się był zaczął. Na widnokręgu zebrały się chmury czarne i groźne, zerwał się wiatr, a na powierzchni morza dotąd tylko w drobna marszczącego się łuskę, pojawiły się większe fale. Po chwili wiatr ustał i statek posuwał się zwolna, kapitan jednakże stał ciągle na pokładzie, badając stan nieba, a na twarzy jego widziałem niepokój. Jakoż wkrótce wiatr zerwał się znowu i silniejszy tą razą niż poprzednio, od wschodu, my zaś płynęliśmy w kierunku zachodnim. Pierwszy raz wtedy zobaczyłem jak wygląda morze wzburzone i zaczęło mnie ogarniać poczucie grozy położenia. Okręt może zatonać i wszyscy zginemy!

Statek zaczął się gwałtownie kołysać, a kołysanie to sprawiło mi ból głowy, mdłości i dziwne osłabienie. Obawiając się ataku choroby morskiej, której dotąd szczęśliwie uniknąłem, a słysząc niejednokrotnie że ruch i praca na świeżem powietrzu, są najlepszymi do zwalczania jej środkami, prosiłem kapitana aby mnie użył do obsługi okrętu. Jakoż po jakimś czasie zrobiło mi się lepiej.

Kapitan kazał zwinąć wszystkie żagle, i kołki ich ściągnąć pod żagiel bocianiego gniazda — tak zowie się siedzenie z desek i sznurów na głównym maszcie. Bałwany co chwila uderzały o pokład. W pół godziny potem na niebie zrobiło się tak czarno, że nic nie było widać prócz pasów świetlanych, ukazujących się tu i owdzie na falach, a wywołanych przez fosforescencję morza. Oslepiające błyskawice przeszywały co chwila ciemności, huk gromów i ryk oceanu, nie pozwalały często słyszeć rozkazów kapitana, nareszcie otworzyły się upusty niebieskie i lunął deszcz. Przy świetle tych błyskawic, widzieliśmy czasami Ametysta, ale Mewa nie było jakoś widać. Tamarix stał przy busoli, ale rażące światło błyskawic bez przerwy następujących po sobie, przeszkadzało mu ją obserwować. Zbliżyłem się do niego, usiłując także coś zobaczyć, ale padłem jak długi na ziemię. Gwałtowne uderzenie fali zalało pomost i przechyliło statek na bok. Kapitan sam stanął przy sterze a majtków posłał na maszt, rozkazując zwinąć wielki żagiel. Wspólnymi siłami zdołali go opanować, poczem okręt powoli zwrócił się pod wpływem steru, którego drąg pod

wiatr obrócono. Teraz statek pędził jak szalony, uciekając przed burzą, ciągle jednak jeszcze zostawał cokolwiek na bok przechylony.

Gdy pierwsze niebezpieczeństwo zostało zażegnane, kapitan zawołał.

— Chodźmy teraz zobaczyć co się dzieje z ładunkiem. Zbiegliśmy ze światłem po schodkach na spód okrętu, a tam wszystko znajdowało się w okropnym stanie. Ziemia ze skrzyń powysypywana, wspaniałe rośliny poprzewracane, niektóre nawet połamane, tylko drogocenny storczyk, zapakowany w koszykowy futerał, ściśle do swego kształtu i wzrostu zastosowany, nic nie ucierpiał. Parę godzin pracowano nad przywróceniem wszystkiego do porządku.

Późno już było i kapitan namówił mnie żebym poszedł spać. Potłuczony, zmoczony do nitki, usłuchałem go chętnie, i zmówiłem psalm:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieie rzec może, mam obrońcę Boga
Nie przyjdzie na mnie żadna strasza trwoga”.

Uspokoilem się potem zupełnie, ale długo zasnąć nie mogłem, i słyszałem jak burza na zewnątrz huczała z całą gwałtownością.

Nazajutrz wstałem bardzo rano i wyszedłem na pokład. Wiatr dał jeszcze chwilami, ale morze stopniowo zaczęło się wygładzać, a kapitan oświadczył, że barometr idzie w górę i że będziemy mieli pogodę. W godzinę potem uspokoiło się zupełnie; Narcyz rozwinął znowu wszystkie żagle. W czasie burzy zboczyliśmy trochę z drogi, ale teraz płynęliśmy już we właściwym kierunku. Patrzyłem zadumany w głębiny oceanu, żałując że nie jestem kapitanem Nemo, o którym czytałem w powieści Juliusza Verne'a p. t. „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi” — i nie mam na swoje rozkazy Nautilusa, przez którego szklaną ścianę można było, siedząc wygodnie w salonie, przypatrywać się podmorskim krajobrazom i śledzić zamieszkujące je istoty. Myślałem o fantastycznych i barwnych wodorostach, o rybach dziwacznych kształtów, o olbrzymich potworach z paszczą szeroką ostremi uzbrojoną zębami, o zwierzętach podobnych do roślin, o ich cudownej organizacji pozwalającej im żyć w głębokościach kilku tysięcy stóp i znosić olbrzymie ciśnienie wody. Wyobrażałem sobie że spuszczonej w ubiorze nurka na dno, chodzę po wyspach koralowych, po lasach wspaniałych wodorostów, pośród zwierząt dziwacznych i upatruję muszli wytwarzających perły, wśród łagodnego zmroku rozjaśnionego blaskiem fosforycznym, którym świecą różne odmiany wycieczek i inne organiczne istoty wydzielające światło, tych zaś podobno odkryto około stu gatunków. Najwięcej zaś myślałem o pewnym gatunku krynoidów, czyli lilij morskich, o których czytałem, że umocowane do dna morskiego, na delikatnej ruchomej szypulce, rozwijają rodzaj kielicha ze ściągłych macków, rozmieszczonych naokoło jamy ciała, a przedstawiających zarazem gębę, żołądek i wnętrzności.

Gdy tak rozmyślałem usiłując przeniknąć wzrokiem tajemnicze głębiny oceanu, ciekawe widowisko uderzyło mnie. Musieliśmy być nie tak znów bardzo oddaleni od lądu, bo ptactwo wodne, mewy, rybitwy, albatrosy, których wczoraj nie widziałem, pojawiły się w wielkiej ilości. Niektóre z nich dotykały wody piersią tak blisko, jakby szły po niej, a skrzydła ich lśniące, błyszczały jak srebro w promieniach słońca. Leć, wydawały chwilami głos twardy i niemiły. Nie to jednakże mnie dziwiło, ale wygodny sposób odbywania podróży jaki sobie obmyśliły. Siadały poprostu na grzbiecie większych ryb niby na statek i tak podróżowały bez trudu. Jeden taki statek przepłynął koło nas: było to oryginalne zwierzę, mające na grzbiecie i głowie szereg najeżonych kolców. Ptak siedział na jego głowie i grzebał dziobem między temi kolcami, jakby tam czegoś szukając. Wyjąłem z kieszeni małą, kieszonkową lunetę, którą mnie stryj obdarzył i zwróciwszy szkło, na ten punkt, spostrzegłem że była tam spiżarnia nielada. Slimaki, kraby, krewetki, nawet małe rybki powięzły w kolcach, po-

przyczepiały się do chropowatej skóry, jak się przyczepiają do boków okrętu lub skał, żyjąc tam jakby u siebie.

Zapytałem kapitana o nazwę zwierzęcia i dowiedziałem się że to jest wielka jaszczurka morska *Amblyrhinctus cristatus*, żyjąca w podwodnych krainach, gdzie żywi się roślinami. Jak wieloryb, musi ona wypływać na powierzchnię dla oddychania, choć mozędlużej pozostawać w wodzie, niż on.

— A mewy i albatrosy, panie kapitanie, czem się żywią?

— Poszukują w rozpadlinach skał ślimaków, grzebią w piasku, szukają robaków i krabów, nawet muszli, dobywając ich mieszkańców haczykowatemi dziobami. Biada ostrzydze, która dość wcześnie nie zamknęła swoich drzwi, lub ślimakowi wyzierającemu ciekawie dla zobaczenia co się dzieje! Ptaki te tak są żarłoczne, że aby je schwycić, dość jest zbliżyć ku nim przynętę. Polykają chciwie wszystko i lecą zwykle za okrętami, żeby pochwycić resztki jedzenia.

— Jakież one podobne do naszych kaczek!

— Podobne, ale mięso ich nie jest tak smaczne, jak mięso kaczki; twarde, łykowate, tylko w wielkiej ostateczności może być użyte, ale jaja za to są wyborne, jak sam dziś miałem sposobność się przekonać. Dzięki żarłoczności tych ptaków, wybrzeża morskie są oczyszczone z ryb, mięczaków, muszli i skorupiaków wyrzucanych przez burzę, które, gnijąc, zarażałyby powietrze. Pełnią one swoje zadanie lepiej niż najtroskliwszy komitet sanitarny; tak już Bóg urządził, że każde stworzenie może się czemś przyczynić do ogólnego dobra.

— Co to jest? — zawołałem zdumiony, spostrzegłszy okrągłą błyszczącą masę, podobną do tarczy księżycy — księżyc odbija się w wodzie, i to teraz, w samo południe!

— A gdzie? — zapytał.

— Tam — odrzekłem wskazując ręką.

Kapitan rozśmiał się.

— Przypatrz-że się temu księżycowi, bo płynie prosto na nas.

Księżyc rzeczywiście podpłynął ku okrętowi, i zobaczyłem że jak na ciała niebieskie od wieków wystygłe, zachowuje się bardzo lekkomyślnie. Wywraçał poprostu koziołki. Nadto miał dwie pletwy po bokach, i płynąc obracał się w koło siebie tak, że raz jedna pletwa, raz druga była na górze. Jechał na nim także skrzydlaty pasażer i ten zmuszony był ciągle podskakiwać, gdy ekwipaż uważał za potrzebne zanurzyć się. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu patrząc na to. Jazda taka, co prawda, nie musiała być wygodna.

— Ryba ta nazywa się Samogłów, *Orthogoriscus mola*, a także zowią ją, *rybą księżycem*, z powodu jej kształtu i blasku fosforycznego, wydobywającego się w nocy — rzekł kapitan, pochodzi on od nasycającego ją tłuszczu.

— Szczęśliwe ptaki — zauważyłem — gdy przyjdzie im ochota do podróży, wybierają się bez bagaży, bez innego przewodnika prócz Pana na Niebiosach i w każdym kraju do którego przybędą, znajdują gościnność. A choć w gościnie mają niebo piękniejsze, przyrodę bogatszą i pożywienia obfitość, wracają jednak do ojczyzny, jak na przykład mewy i albatrosy żyjące w lodowatych krainach Północy.

— Bo każde stworzenie żyjące ciągnie zawsze do miej-

sca w którym zaczęło żyć, i ptak nawet czuje co jest ojczyzna, choć tego może nie rozumie.

Gdy kapitan to mówił, stanął mi przed oczyma kraj rodzinny, a w nim Dębowa Wola, cmentarz i mogiła, na której teraz nie miał kto kłaść stokrotek... Wtem sternik wielkim głosem zawołał.

— Wieloryb!

Wszyscy skupili się przy burcie i wlepili wzrok w morze: mnie samego zelektryzowała ta wiadomość. Po chwili spostrzegliśmy ogromne czarne cielsko. Nie będę go opisywał szczegółowo, bo któż go nie zna z opisów? powiem tylko że siedziała na nim cała gromada pasażerów i wyglądał jak olbrzymi omnibus. Był to właściwie delfin.

— Ciekawy jestem gdzie też teraz obraca się Mewa i Ametyst — odezwał się kapitan — w czasie burzy straciłem ich z oczu.

Jakby w odpowiedzi na to zapytanie, majtek siedzący na bocianiem gnieździe zawołał.

— Okręt!

Kapitan popatrzył przez lunetę i rzekł.

— To jest Mewa, poznaję ją, Mewa płynąca w odwrotnym kierunku. Dziwna rzecz! Musiało się stać coś złego z Ametystem... Czyżby się rozbił o skały? Niedaleko ztąd są tak zwane...

Wyteżyłem uwagę w nadziei że teraz właśnie dowiem się czegoś, ale kapitan nie dokończył. Dnia poprzedniego zauważyłem też, że mapy które poprzednio widziałem w kajucie kapitana, zniknęły. Mewa płynęła prosto na nas. Gdy już zbliżyła się na taką odległość, że można było nawzajem widzieć się i słyszeć, zobaczyliśmy Tygrysa stojącego na pokładzie w postawie zrozpaczonej. Błady był, ponury, a długie jego włosy wczoraj starannie ułożone, rozsypały się dokoła twarzy w nieładzie.



Samogłów.

— Niestety! — jęknął załamując ręce.

— Na Boga, kapitanie — zawołał Tamarix — co się stało? Czy Ametyst zatonął?

— Ametyst dobija już pewnie w tej chwili do brzegów Atlanty — odparł ponuro — jest cały i zdrow.

— A więc co się stało? Dla czego zawróciliście z drogi? Mówże pan, do kroćset!

— Żaba latająca... — wyjąknął.

— Zemdląca, czy dostała morskiej choroby?

— Ach, gorzej, stokroć gorzej! W czasie burzy zniknęła. Strzegłem jej jak oka w głowie, a mimo to niema jej. Znalazłem czarę przewróconą, wieko od niej stłuczone, wodorosty i mech leżące na ziemi, ale żaby nie znalazłem. Przeszukałem cały okręt, każdy zakątek... ani śladu!

— No, przepadł order — mruknął Tamarix — ależ to jeszcze nie nieszczęście. Zab dzięki Bogu jest więcej na świecie. Każ pan zawrócić statek i popłyniemy razem.

— Nie, za nic w świecie! Nie odważyłbym się pokazać królewiczowi na oczy. Chcę pana prosić kapitanie o koleżeńską przysługę: zabierz pan na swój okręt jaszczurkę rogatą i zakonnicę, bo ja powracam do Afryki po drugą żabę.

Tamarix próbował nakłonić Tygrysa do zmiany posta-

nowienia, nazywał je nierozsądnym, śmiesznym nawet, ale tamten był nieugięty. Przyjęliśmy więc jego ładunek i rozstaliśmy się.

Jechaliśmy tak dzień cały wśród najpiękniejszej pogody; ja prawie nie opuszczałem pokładu, nie mogąc się nacieszyć majestatycznym widokiem spokojnego morza. Nareszcie nad wieczorem kapitan śledzący coś od kwadransa przez lunetę, spojrzał na mnie i rzekł:

— Atlanta!

Serce mi zaczęło bić gwałtownie. Postacie wszystkich trzech królewiczów i ich małżonek znane z listów Abrakadabrusa, stały mi przed oczyma jak żywe, zwłaszcza królewicz Zielonko, który był dla mnie najsympatyczniejszym ze wszystkich i Jagódka. Obawiałem się tylko czy nie sprawię na nich niekorzystnego wrażenia. W Dębowej Woli często nazywano mnie mrukiem, dla tego że nie umiałem być wesołym jak Tadzio i Adaś. Była chwila, że cała ta podróż i los jaki mi wypadł, wydały mi się czemś nieprawdopodobnym. Jakto, ja, taki sobie zwyczajny Janek, mam być posłem i paziem królewskim? Czyż to być może! Prosiłem kapitana żeby mi

dabrusa i zobaczyłem wieżę wraz z balkonem zwieszonym nad morską otehlanią, a na balkonie jakąś postać wysoką, szlachetną, w szatach wschodnich, z białą brodą spadającą na piersi. Promienie zachodzącego słońca, padały z góry na tę postać, która też wydała mi się niezmiernie dziwnym zjawiskiem.

Widząc że Narcyz opuszcza flagę do połowy, spytałem kapitana co to znaczy, na co odpowiedział mi, że szlachetnemu mistrzowi, który był nauczycielem królewien, z woli królewiczów oddają się królewskie honory.

Minawszy pałac i górzyste krainy królewicza Kryształka, jechaliśmy wzdłuż łąk cudownej zieloności, wpośród których błyszczały zwierciadła jezior i stawów. Na łąkach pasły się liczne trzody i stada koni: domyśliłem się że to jest państwo Pióropuszk. Nieopodal, nad morzem także, wznosił się gmach niesłychanej okazałości, istny klejnot, koronowany tego monarchy. Trudno opisać fantastyczne kształty tego pałacu, wyglądającego jak obraz z bajki czarodziejskiej. Podobne to było do groty, do ruin zamku średniowiecznego, i już nie wiem do czego. Myślałem że kapitan każe tu zarzucić kotwicę, żeby złożyć ładunek powierzony mu przez Tygrysa,



Wieloryb.

pozwoił wejść na bocianie gniazdo, tak gorąca paliła mnie ciekawość urznięcia tajemniczej wyspy. Nie opierał się temu, bez względu więc na moją godność poselską i prawo do tytułu ekscelencyi, wywindowałem się na maszt, bo niezłym byłym gimnastykiem, ale nie zaraz spostrzegłem ziemię. Widziałem wielkie ławy wodorostów, które okręt omijał, wiedząc że są oznaką skał podwodnych, widziałem chmary ptactwa siadające na nich i goniące za nami z wielkim krzykiem i wrzaskiem, nareszcie wzrok mój rozróżnił niewielką zielonawą plamkę na widnokręgu, która powoli zwiększała się coraz więcej, więcej i więcej.

W miarę jak przybliżaliśmy się do niej, coraz silniejszy ogarniał mnie zachwyt. Zdala już przykuwała wzrok malowniczymi zarysami swoich gór, których ostre szczyty, pokryte tu i owdzie śniegiem, miały stoki ciemno zielone, lasem iglastym porośłe. Nad samym brzegiem morza, na skale, widniał wspaniały pałac z białego marmuru, którego dach złocisty odbijający się w promieniach słońca, sam wyglądał jak słońce. W zatoce na kotwicy, stał dobry nasz znajomy, Ametyst. Ale Narcyz ominął tę zatokę, żeglując dalej wzdłuż wybrzeża. Gdy mijaliśmy pałac królewicza Kryształka, szukałem wzrokiem owej wieży narożnej, gdzie ma być mieszkanie Abraka-

ale powiedział mi, że obowiązkiem jego jest stawić się najprzód w Różanym gaju.

Jeżeli dotąd brzegi Atlanty, wprawiły mnie w zachwyt, to widok królestwa Zielonki takie sprawił na mnie wrażenie, że słowa wymówić nie mogłem. Całe wybrzeże, cały kraj, jak daleko okiem zasięgnąć, jest jednym wielkim ogrodem. Zdaleka widać było wspaniałą zatokę, i z pośród drzew różanych wyglądający pałac królewicza Zielonki, cały zbudowany z drzewa, w stylu nawpół szwajcarskim, pół norweskim, lekkim i wdzięcznym, z wysmukłymi wieżyczkami, gankami otoczonymi delikatną koronkową rzeźbą, ze ścianami gładkimi, błyszczącymi jak atlas, tu i owdzie pokrytymi wijącymi się roślinami. Tu Narcyz zarzucił kotwicę.

Jestem więc już w Różanym gaju, zupełnie usprawiedliwiającym swoją nazwę obfitością róż dokoła niego rosnących. Pomieszczono mnie w bocznym pawilonie, przeznaczonym dla posłów zagranicznych, gdzie także podobno zamieszkał poseł indyjski. Pokoik mój ma okno wychodzące na prześliczny kwiatnik kobiercowy i grupę świerków. Ściany są ozdobione malowaniami przedstawiającymi płataninę kwiatów, między którymi dziwnym trafem najwięcej jest stokrotek; meble wszystkie z różanego drzewa, spełniają jedną z obietnic

królewicza Zielonki wyrażoną w liście do Redakcyi Wieczorów: będę sypiał na różach. Na stole stoi przepyszny bukiet złożony z róż herbatnich, rezedy i heliotropu — to znów spełnienie drugiej obietnicy królewicza: będę wachał najwonnniejsze kwiaty.

Zaledwie się rozgościłem, przyniesiono mi obfitą wiecznię, na którą składało się także królestwo Pióropuszką, bo oprócz owoców, jadłem ryby i zwierzyne. Pod koniec wieczory, odwiedził mnie marszałek dworu, hrabia Lilium Martagon, bardzo miły staruszek, siwy już zupełnie. Wyraził nadzieję, że mi tu będzie wygodnie i oznajmił, że jutro rano będę miał u królewicza posłuchanie. Dodał też, że jeżeli zechcę wysłać list do Warszawy, abym go o tem zawiadomił, bo przysłał mi nadwornego fotografa dla zdjęcia z listu odbitki w zmniejszonym formacie, na bardzo cienkim papierze, żeby gołębia pocztowego za bardzo nie obciążał. Podziękowałem mu uprzejmie i oświadczyłem że dzisiaj jeszcze mam zamiar pisać.

Gdy odszedł, zabrałem się zaraz do listu; znalazłem na biurku bogato inkrustowanem, wszelkie przybory do pisania. Pierwszym jednak przedmiotem jaki tu oczy moje uderzył, była duża koperta zaadresowana do mnie i opatrzona królewską pieczęcią. Otworzyłem ją z ciekawości: zawierała ona moją nominację na przybocznego paza królewskiego, spisana po łacinie. Śnać królewicz ze względu na moją nieznaną języka atlantyjskiego, użył języka naukowego, znanego w całym świecie. Co jednak najwięcej na tym papierze przykuło mój wzrok, to znajdująca się u dołu data 30-go lipca; że zaś wyjechałem z Warszawy dnia 26-go, przeto podróż moja trwała dni cztery. Tylko cztery! Znajduję się zatem w Europie, gdzieś bardzo blisko stałego lądu.

Janek sierota.

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Jakto — z przerażeniem zawołał pan Thorn — czyliżbyś im powiedział istotny cel naszego tu przybycia?... że ci się tak z pomocą ofiarowali?

— Nie; o buncie wewnątrz kraju i o porwaniu młodych naszych państwa, ani słówkiem nie wspominałem...

— Dla czegoż więc ów spokojny pracowity rolnik pokazywał ci broń ukrytą w skałach, i czemu tak długo bawiłeś, jeżeli chaty są tylko o pięćset kroków od nas odległe, i nade wszystko, dla czego tak jakoś dziwnie opowiadasz, wahasz się i namyślasz jak to wcale nie jest twoim zwyczajem?

— Oto dla tego, panie mój, że jest w tem wszystkim coś skrytego, czego sam nie rozumiem i przeto boję się panów i towarzyszy narazić albo nawet zgubić, a tymczasem jak tylko sam tam byłem i powiedziałem że mam towarzyszy to już po części was naraziłem; a z drugiej znowu strony, nuż to wszystko tylko tak mi się wydaje, a właściciel chaty jest istotnie poczciwy krajowiec, znający świat i jego sprawy, tylko nie dalej jak koniec własnego nosa i krańce swego ryżowego pola?... Toż to niedorzeczność w takim razie będzie, jeżeli tu się nie osiedlimy tymczasowo, bo właśnie stary hindus coś niewyraźnie napomyka, że tu właśnie gdzieś w pobliżu jest mała nieznaczna zatoka, stale uczęszczana przez handlarzy niewolników...

— Jakto!... a więc tu także dostarczanoby niewolników na sprzedaż z okolicy?...

— Tak on daje do zrozumienia...

— Ależ w takim razie rzecz skończona! Nie mamy wyboru, tu musimy się zatrzymać i ztąd działać: handlarze niewolnikami tak na morzu, jak na lądzie zanadto są tropieni i ścigani, aby mogli swobodnie handel swój prowadzić, mało mają miejscowości ku temu dogodnych, a jeżeli gdzie taką

znajdą, to z bardzo daleka do niej dążą. Ta pusta okolica bardzo nawet wygląda na takie straszne dzikie targowisko. Wszystkie szanse są za tem że jeżeli gdzie, to tu właśnie hindusi przyprowadzą Klarę i Wilhelma. Tu musimy pozostać. Prowadź nas do chaty! — mówiono.

— Panie, a jak tam jest co niedobrego?

— Co takiego?

— Otóż to bieda że nie wiem. Dla tego właśnie tak długo tam siedziałem, pozwalając się zatrzymywać, bo on mię zatrzymywał i częstował daleko hojniej, niżby z pozorów jego gospodarstwa wnosić należało. Chciałem go nieznacznie wybadać, a teraz zdaje mi się że i on o toż samo się kusił; tańcowaliśmy oba tak około siebie, i ostatecznie ja nic pewnego nie wiem, tylko mam przecucie i podejrzenie czegoś niedobrego.

— Cobądź jest — rzekł pan Mac'Ulm — musimy tu spocząć, bo stare nasze kości po tylu trudach i nocach pod gołem niebem domagają się tego koniecznie, zresztą jeżeli tylko podejrzaną człowiek wie, że tu jesteśmy, nie wiele ryzykujemy wchodząc do jego chaty. Nakoniec przypuszczenie mniej wiarygodne, że tu właśnie spotkamy nasze dzieci, przeważa ostatecznie wszelkie wahanie.

— A więc nabić broń na nowo, opatrzywszy ją starannie i idźmy w imię Boże do chaty, bo nie zyskamy nic ukrywając się w tych zaroślach, a w tej okolicy pozostać musimy. Owszem, nawet łatwiej nam będzie tam na miejscu przypilnować jej mieszkańców i dopatrzeć co nam od nich grozić może.

W pół godziny później, mała gromadka podróżna dążąc ciągle pod górę ku dzikim, skalistym złomom, wznoszącym się tu i owdzie na wybrzeżu zwieszonem prawie nad falami, roztrącającymi się o ich stopy, weszła w zaułki skalne, gdzie nikt nie spodziewałby się ludzkiego siedliska, ujrano w zakęcie dwie nędzne, ale rozległe budy, jaskółczym nieledwie sposobem ulepione z błota, zalegające miejscami u stóp skał, i z przeróżnych szczątków okrętowych przez morze zapewnione niekiedy wyrzucanych. W obu chatach było tylko dwoje mieszkańców, ani jednego dziecka, co odrazu uderzyło podróżnych; oprócz tego uderzającym było, na co prostoduszny Mahora wcale nie zwrócił uwagi, że oboje, mąż i żona nie byli właśnie bardzo pospolitymi krajowcami jak to jemu się zdawało, przywykłym do towarzystwa wykształconych ludzi. Hindus miejscowy na widok gości swoich, bacznie się im przypatrując, zdawał się trochę zdziwiony; mimo to przyjął ich chętnie, oddając, do użytku jedną chatę, prawie pustą. Anglicy potrzebowali spoczynku i gotowanego pożywienia, którego od kilku dni i nocy nie używali; jedno i drugie dostarczono im w warunkach daleko lepszych niż można się było spodziewać; hinduska brudna jak murzynka, okazała się niepospolitą kucharką jakimi zwykle bywają murzynki, zapasy zjawyły się na zawołanie z głębi schówków jakichś tajemniczych. Po obfitym obiedzie wszyscy legli do snu pokotem, sam tylko pan Thorn pozostał pod powiewającą łachmanami werendą, z kądem przepyszny widok otwierał się na cały niezmierny obszar morza. Hindus-gospodarz usługujący ciągle gościom jakby najpospolitszy francuzki, lub niemiecki oberżysta, zjawił się natychmiast z butelką portweinu tak dalece prawdziwego i czystego, że Thorn osłupiał z podziwu kosztując tej doskonałości, której był znawcą, i obiecał sobie mieć się podwójnie na ostrożności z gospodarzem tak bystrym w ocenianiu gości swoich.

Przyjacielska ale istotna uległość, jaką wszyscy podróżni okazywali Thornowi nie uszła oczom Indyanina, uważał starca za przywódcę i wyraźnie teraz okazywał chęć do gawędki na osobności, przygotowując z ręczniami sposobność ku temu.

Te manewra zauważył pierwszy Mac'Ulm i zwrócił uwagę, radząc korzystać z chwili i copędzej starać się dowiedzieć co ma na myśli dziwny gospodarz:

— Kładźmy się spać copędzej kiedy on nas tak na to namawia, a ty przyjacielu sam na sam staraj się go wyciągnąć na słówko.

— Dobrze, ale ty połóż się tuż u wejścia, abyś mógł słyszeć co mówić będziemy, dwa rozumy i cztery uszy nie zdają mi się za wiele na tego chytrego poganina... — kręcąc głową od-

parł Thorn, który również jak Mahora podejrzewał gospodarza coraz bardziej, nie wiedząc wszakże o co; skosztowawszy portwina zjawiającego się dla niego jedynie, machnął już tylko ręką znacząco:

— Gruby tu jest jakiś interes, w którym łotr ten spodziwiewa się we mnie współnika.

— Niezłe wino? he?... — spytał Indyanin przymrużając jedno oko figlarnie, gdy ujrzał się sam na sam ze starym Anglikiem, a nieudane chrapanie Johna i jego towarzyszy dowodziło, że znużeni podróżni wewnątrz chaty nie tracą czasu.

— Dobrze!... patrzaj!... tamci już śpią!... ot to się pomęczyli chłopaki! — odparł Thorn, nie żartem zdziwiony talentem Johna, który jeść i spać mógł bezwarunkowo na zawołanie, w każdej porze dnia i nocy. Gospodarz wsparty o stół jedną ręką, stojąc naprzeciw siedzącego gościa, spojrzał w tej chwili znaczącem na niego wejrzeniem z pod oka, i pochylając się doń przez stół spytał szeptem:

— Czy oni... wszyscy?... — zapytany, z pewnością nie wiedziałby co odpowiedzieć na niepojęte pytanie, gdyby nie przyszły mu na myśl wiadomości, otrzymane przez Mahorę od tego oberżysty, a dotyczące handlu niewolnikami na pustem otaczającym wybrzeżu: błyskawiczne światło oświeciło nagle umysł doświadczonego człowieka.

— Oprócz dwóch — odpowiedział stanowczo, i spojrzał w oczy pytającemu. To spojrzenie zapewniło go, że odpowiedział trafnie: oczy Indyanina błysnęły zadowoleniem, wyprostował się, tajemnicze pytanie, które zapuścił niby sondę, objaśniło śnadź wątpliwości jego i porozumienie nastąpiło:

— Aha!... ten który tu był pierwszy i ten stary?... — zapytał poufnie.

— Tak.

— Szesnastu!... prawie sami młodzieńcy!... dobry towar!... — uśmiechnął się tygrysim uśmiechem.

— Czy długo trzeba będzie czekać?... — spytał Thorn zaledwo hamując wstrząsający nim dreszcz wstrętu i oburzenia.

— Ależ tu tydzień jeden nie mija, żeby który nie zawinął do zatoczki!... Onegdaj już był jeden, ale wywiesiłem znak że niema tu *nic*, a że *on* miał widać dostatek wody i żywności, więc minął nas, nie przybijając wcale do lądu. Ale wkrótce będzie inny, albo ten sam powróci, a ja byłem gdzie w dolinie dostrzegł trzy ogniska lub usłyszał trzy wystrzały... dam ze swej strony właściwy zwykły znak. Pan nie zna tylko okolicy? Czy też i w handlu jeszcze nie ma wprawy?

— Czyliż mają po co tak ciągle tutaj krażyć?... ja... rozpoczynam dopiero, szukam punktu...

— A panie!... toż najlepsze targowisko z całego wybrzeża! Jeżeli nasi nie pochwycać cudzoziemca, to sami między sobą, pokolenie z pokoleniem walcząc bezustannie, biorą niewolników i tu ich wiodą!...

— A ci... co tam po to niby krążą po morzach, aby przeszkadzali w *robocie* czyliż ich tu niema?... — spytał Anglik usiłując nastroić się do tonu w jakim oberżysta prowadził rozmowę. Ten roześmiał się dziko:

— Ech, panie, nie brakuje i tutaj angielskich i francuzkich statków mających obowiązek przeszkadzać handlowi, włócząc się zarówno gęsto jak tamci, ale co oni mogą upilnować, gdy my tu z tej oto wyżyny wszystko widzimy wprzód niż oni, i wedle potrzeby dajemy rozmaite niezbyt widoczne znaczki, których oni nie rozumieją albo i nie widzą wcale, a nasi kupcy widzą wszystko doskonale jak pantera o północy! Przytem, jest też tu niezbyt daleko przepyszna zatoczka, kryjówka jakich mało, cztery godziny drogi ztąd, aby nie było najmniejszego na mnie podejrzenia: tam najłatwiejsze porozumienie...

— I nigdy nie przychodzi do starcia?...

— Prawie nigdy; bo też jeżeli się zdarzy nadzwyczajnym jakimś sposobem, kupiec zawsze przepadł.

— Zawsze?... — wykrzyknął Thorn nie mogąc zapamiętać nad wzruszeniem.

— O!... a i cóż to *dostarczających towaru* obchodzi, gdy

zań już wzięli pieniądze! — roześmiał się krokodylowym uśmiechem gospodarz, najzupełniej fałszywie pojmując wzruszenie Thorna. — Nasi *kupcy* mają zazwyczaj umyślnie stare i nędzne okręciki tanio nabyte i całej załogi najwięcej dziesięciu do piętnastu ludzi, i udają spokojnych handlarzy drobiu, zwierząt domowych, owoców i zboża, kobierców, muslinu, ot, zwyczajnie, wszelkiego towaru, jakiego dostać można na wybrzeżach. *Towar prawdziwy* ze spletanymi rękami i nogami i zatkanymi ustami leży na dnie okrętu spokojnie, gdy tamten zapewnia cały górny pokład. Trzeba szczególnego wypadku albo zdrady ze strony owych *piętnastu* aby okręt ścigający *handlarzy niewolników*, a przepływający spokojnie koło takiego pocziwego bezbronnego kupieckiego okręciku, domyślił się co tam jest na dnie... Niepodobna bo znowu rewidować każdy statek spotkany. I tak sobie idzie handelek, o! idzie! No, ale to noc zapada; życzę panu dobrego wypoczynku, bo trzeba będzie nielada sił do pańskiej roboty, gdy przyjdzie do czego.. hm, szesnastu, a pan masz tylko dwóch do pomocy... no i ja jestem tu przecież. Ale wszyscy mają broń!... no, usunie się ją zgrabnie ostatniej nocy. I nie domyślają się? Otóż to, tak: jeden mądry pasterz, całe stado baranów prowadzi!... Życzę dobrego wypoczynku!

W pół godziny później Thorn, postawiwszy dwóch ludzi na straży we drzwiach chaty, drżący febrycznie ze wzruszenia, legł zmordowany koło przyjaciela.

— Słyszałeś?

— Co do słowa. Bierze cię za złoczyńcę, który podstępem wiedzie szesnastu ludzi nieświadomych swego losu, na sprzedaż handlarzom niewolników. To prosty szpieg tych zbrodniarzy.

— Najoczywiściej. Co począć?

— To, co odrazu postanowionem było: szukać pomocy u okrętów tropiących handlarzy niewolników, ponieważ sam ten łotr zapewnia, że tak jedni jak drudzy snują się często koło tutejszych wybrzeży.

— Ale jak się porozumieć?

— Niema chyba trudności, bo niema wyboru: musimy dawać znaki, jak rozbitki na skale wzywający pomocy.

— Wtedy nasz gospodarz pozna omyłkę swoją co do naszych zamiarów...

— Tak, ale na to niema rady...

— Trzeba go bezustannie mieć na oku, aby nie dopuścić się jakiej okropności...

— Wątpię aby dopuścić się miał jęj czynnie, bo chociaż ma broń, ale zdaje się być istotnie sam jeden z kobietą...

— Ręczysz za to?... Czy wiesz jakie tu mogą być kryjówki w skałach?...

— I to prawda! okropność!

— Znajdujemy się niby na gorejącym wulkanie, i to bez przenośni, bo przy takiej ilości broni jaką dostrzegł Mahora musi tu być i porządna doza prochu, którą najłatwiej podpalić...

— Możeby ludzie nasi chociaż nocowali na dole... w lesie?

— Niepodobna, za najmniejszym podejrzeniem łotr mógłby ostrzedz zbrodniarzy, którzy prawdopodobnie wiodą tu nasze nieszczęśliwe dzieci, tak jak ostrzega tych, którzy krążą aby je kupić. Cała nadzieja w tem że od *onegdaj* nie było tu żadnego targu, a więc nie zdążono jeszcze przyprowadzić naszych, lecz lada chwila... Słyszałeś: trzy wystrzały lub trzy ogniska, te w nocy, tamte w dzień oczywiście, znaczą że przybywa jakaś partya niewolników... O Boże, Boże!...

— Odwagi, przyjacielu!

— Jeżeli jaki okręt z pomocą zjawi się wprzód i łotr ten zobaczy nasze z nim porozumienie się...

— Wtedy interesem naszym będzie przeszkodzić choćby gwałtem jemu i jego żonie, aby nie dali żadnych znaków ostrzegających, inaczej, porywcy naszych dzieci cofną się z niemi i wszystko przepadnie.

— A jeżeli nasze dzieci przywiedzione będą wcześniej, zanim pomoc sobie zapewnimy, i jeżeli statek handlarski po nich przybije...

— Pozostaje nam tylko walka na śmierć. Jest najwięcej piętnastu ludzi na takim statku, ale ilu zbrodniarzy przyjdzie z nieszczęsnymi niewolnikami?

— Wtem pytanie; w każdym razie nas jest dziewiętnastu...

— I Bóg przecież z nami... a wyboru niema.

Cisza nocna przerywana chrapaniem służących, otaczała tę szeptaną naradę dwóch ojców, której milczącym słuchaczem był Mahora przytulony do nich, aby ani słówka z niej nie stracić i dopiero ostatnie słowa on wymówił.

— Okręt! parowiec! dym! — zawołał Wilko, nazajutrz rano gdy wszyscy siedzieli przy śniadaniu, prócz dwóch strażujących na zmianę we dnie i w nocy. Zbiegowie zadrżeli, nie okazując wszakże wzruszenia, aby nie zdradzać się przed-gospodarzem bez koniecznej potrzeby. Jednak patrzano na morze z pośród skał i on sam patrzył także. Istotnie coś tam majaczyło w oddali, widoczne dopiero dla bystrych oczu wpół dzikiego Wilka. Ale i gospodarz miał wzrok niepospolity, a owo coś majaczące zbliżało się:

— Nie!... — rzekł tajemniczo, z porozumiewającym wejrzeniem ku Thornowi — to parowiec istotnie, francuzki, jeżeli się nie mylę.

— Nie było od wczoraj ani trzech ogni w głębi lądu, ani wystrzałów... a pomoc przybywa, co czynić? — szepnięto przy stole.

— Jeżeli się zbliży, wezwać ją; niema rady.

— A gospodarza i jego żonę nie spuszczać od tej chwili z oka, albo co lepiej związać odrazu.

— Niepodobna... nuż ma skrytych tu gdzie towarzyszy... i rzuca się na nas nim zdążymy zawezwać pomocy...

Wszystkie oczy z wyteżeniem spoczywały na parowcu. Zbliżał się szybko, wkrótce nie było wątpliwości że był francuzkim.

— Ha... w imię Boże trzeba wołać pomocy: Rahib wdrzyj się na tą skałę i powiewaj białem płótnem, my wszyscy razem na komendę wypalmy w powietrze, razem aby huk spotęgować, i natychmiast za pierwszym podejrzanym ruchem, rzucimy się na gospodarza i kobietę aby ich związać... Oto za minutę parowiec będzie przepływał najbliżej nas...

— Co to? Po co to?... — spytał oberżysta zdumiony, spostrzegłszy tuż nad własną głową, Rahiba powiewającego białem płótnem na szczycie skały.

— Cel... pal! — komenderował jednocześnie Thorn. Ośmnaście wystrzałów huknęło jak jeden armatni... Kilka sekund następnych zbiegło w głuchem milczeniu, Anglicy drżeli nadsłuchując, w obawie czy ich sygnały zostały usłyszane i zrozumiane... Gospodarz patrzył na nich drżąc także podobno z innych przyczyn, jakby nie zdecydowany, czy też nie mogąc pojąć położenia.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Pierwsze, jeśli nie płynie, to się w rzeczownika Towarzystwie, wśród mowy zazwyczaj spotyka, Drugie, trzecie, konieczne są dla dobra ludzi. Wszystko winnoby celem być dążeń grzesznika, Lecz zbyt rzadko jest szczere; pozorami ludzi, Częściej przeto nieufność niż uznanie budzi.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.). — Żniwa, wiersz. — Rygi-Kulm, Wspomnienie z podróży. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — W Indyach. — Łamigłówek i rozwiązań. Dodatek: Bawią się dziateczki, wiersz p. Helenę Bojarską. — Przyjaciele Jani. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówek i rozwiązań. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Forawską (autorkę „Reginki”).

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożona przez Manię Zar. dla Rafaeli Kryn.

Wyrazów 11. Początkowe litery utworzą nazwisko poetę polskiego, a końcowe nazwisko króla. Sylaby: I—Ka—Cej —On—bi—Na—A—ka—o—lon—do—ma—skop—zon—ret —On—za—ri—Wi—ta—o—nów—So—la—tes—Ka—kra—dzi—lej—hi—Ho—cyk. — Znaczenie wyrazów: 1. Narzędzie zbudowane na prawach odbijania się światła. 2. Dopływ Missisipi. 3. Wyspa na oceanie Indyjskim. 4. Pustynia w Azji. 5. Rzeka w północnej Ameryce. 6. Miasto w Palestynie. 7. Jezioro w północnej Ameryce. 8. Pałac zbudowany przez Jana III. 9. Filozof grecki. 10. Naczelnik pokolenia u dzikich. 11. Imię mężkie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go

Zadania konikowego:

Coby było wśród zakresu,
Na który ludzkie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu
I elektrycznych promieni?

Coby było? Zgadnąć łatwo:
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc, słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!
Toasty Mickiewicza.

Szarady:

K a r a w a n a.

MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

zawiadania, że codziennie od godz. 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic: przychodnich, pensjonarek i pół-pensjonarek. Lekcyje rozpoczną się 21 Sierpnia (2 Września). 4—2

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przyjmuje pensjonarki, udziela nauki wszystkich rzemioł korzystnym dla kobiet. Lekcyje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.



Bawią się dzieci.

BAWIĄ SIĘ DZIECI.

Noga w nogę! dalej żwawo!
Raz, dwa! raz, dwa! w lewo, w prawo
Maszerują sobie dzieci
I wesoło czas im leci.
Maszerują tak po łące,
Gdzie kwiateczki woniejące,
Gdzie tęczowe lśnią motyle,
Gdzie uciechy tyle... tyle...
Oj! zabawni to żołnierze,
Spojrzyć na nich aż śmiech bierze;
Uzbrojeni w wielkie kije,
Marysieńka w bęben bije,

Jaś ma minę napuszoną,
Idzie z głową podniesioną,
Frania nóżki w takt przekłada,
Ze swęj roli bardzo rada.
Wtem na drodze trójka śmiała
Ze znajomym się spotkała
— Jak się macie moi mili!
Będziem razem się bawili,
Przyjmijcie mnie, proszę bardzo!
Dzieci prośbą nie pogardzą,
Wszak i im weselęj będzie,
Adaś zaraz staje w rzędzie,
Maszerują dalej żwawo,
Raz, dwa! raz, dwa! w lewo, w prawo.

Grzecznie bawią się dziecięcki,
Ani słyhać żadnej sprzeczki
Między niemi zgoda stała,
Na chwilę się nie zerwała,
Za to czuwa Bóg nad niemi
Znajdą szczęście tu na ziemi.

Helena Bojarska.

Przyjaciele Jani.

Czy wiecie kto był przyjacielem Jani?

Myślicie może, że Julcia albo Lucia, albo jaka inna dziewczynka?

Nie, wcale nie, nie zgadniecie zapewne.

Przyjaciółkami Jani były dwie owieczki: jedna duża owca, a druga mała jej córeczka-jagniątko.

Obie owieczki były bardzo do siebie podobne. Owca miała małą główkę i jagniątko małą; owca na głowie miała duże uszy i jagniątko także. Owca miała długą szyję, gruby tułów i 4 nóżki i mała to samo. Nawet ogony miały obie króciutkie, jakby im kto odciął. Jedna tylko była różnica: stara owca miała bardzo grubą i długą wełnę, a jagnię miało jeszcze króciutką.

Czem się żywiły owieczki?

Przyjaciółki Jani były wybrednemi smakoszami. Starsza owca nie jadła byle jakiej trawy, wybierała na łące smaczne ziółka, piła wodę zaprawioną mąką i bardzo lubiła sól lizać. Jagniątko jeszcze tego nie jadło. Mamusia owieczka karmiła je swoim mleczkiem.

Za co Jania lubiła owieczki?

Jania bardzo lubiła owieczki, bo też nie było łagodniejszych zwierzątek. Skoro Jania wyjdzie na spacer, owieczka zobaczy ją zdaleka i przybiegnie do niej. Jania ją obejmie, położy przy sobie, długo się pieści z nią, a owieczka nie ucieka.

To znowu jak Jania daje jej chleb z solą, owieczka bierze ostrożnie, nie dotyka rączki Jani.

Z jagniątkiem to się Jania ściagała i śmiała się bardzo, jak jagniątko fikało czasem nóżkami.

Owieczki dla wszystkich były bardzo dobre, nikt nie krzywdził, nikomu nie dokuczały. Raz przychodzi Jania i widzi, że na stariej owcy siedzą ptaki. Jeden wybiera robaki z jej wełny, drugi chodzi spokojnie po grzbiecie, a trzeci wyrwał parę włosków i niesie do swego gniazdko. Owca ani się poruszy, stoi spokojnie i trawę skubie.

— A hysz! wy okrutnicy! — zawołała Jania i co prędzej spędziła ptaki.

Ptaszki widać też się nie bały Jani, bo usiadły jedno na płocie, drugie na drzewie i przyglądały się owieczce.

Za co inni ludzie lubili owieczki?

Nie sama Jania, ale wszyscy we dworze dbali o owieczki, były one bowiem ludziom bardzo potrzebne.

Na wiosnę owce strzygli, wełnę brały kobiety ze dworu, -przędły, a z przędzy miały ciepłe pończochy, spódnice, kaftaniki, rękawiczki, szaliki i wiele innych rzeczy. Jeden tylko pastuch stary Maciej, nie nazywał inaczej owcy jak „głupiemi stworzeniem”.

Ale na cóż jej wiele rozumu?

Marya Weryho.

OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiechnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

— Mamusiu — zawołała podskakując na jednej nodze — proszę zobaczyć jaka śliczna liszka.

Śliczna liszka, pomyślałam, a więc nie ja tylko mam o sobie tak pochlebne mniemanie i inni mnie podziwiają; słowa te natchnęły mnie nadzieją, że może nie spotka mnie nic bardzo złego. Nadeszła też druga osoba, pani z parasolką w rękę, zdająca się nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi.

— Mamusiu, liszka — powtórzyła znowu dziewczynka.

— To dobrze, moja Stefcu — odparła obojętnie pani, zapatrzona na rosnące w bliskości cukrowe buraki.

— Niech się mamusia spojrzy — nalegała Stefka — mamusia myśli ciągle o tych nieznośnych burakach.

— Nic dziwnego, buraki mnie bardzo obchodzą, bo będą za nie pieniądze na sukienki i trzewiczki dla was.

— Ale mamusiu liszka. Taki ładny okaz, zanieśmy ją Celince i dzieciom.

Wtedy dopiero pani raczyła spojrzeć na mnie.

— Masz słuszność — rzekła — zawiniemy ją w liście i zabierzemy z sobą.

— Zaniósę ją na górę, będą myślały że to coś smacznego, coś do jedzenia z ogrodu, odwiną, a liszka wyskoczy. — To mówiąc swawolna Stefka śmiała się serdecznie, jakby miała z czego, bo proszę powiedzieć tylko czy jest cień rozsądku w przypuszczeniu, że tak poważna istota, jaką ja byłam wtenczas, poniżałaby się do jakichś nierozumnych skoków: Tymczasem dziewczynka uszczęśliwiona swym pomysłem, zabrała się z pomocą mamy do dzieła; podjęła mnie z ziemi z pomocą dwóch patyków, któremi mnie ścisnęła dotkliwie i zawinęła ściśle w liście łopianu tak, że oddychałem z trudnością i drżałem z obawy czy się nie uduszę w tak ciśnień więzieniu. Nie mogę ci opisać, droga przyjaciółko, jak uciążliwą była ta droga, odbyta gdzieś bardzo daleko w rękę nielitościwej dziewczynki, która zamiast iść spokojnie i zwolna, jak wszystkie rozsądne istoty, biegła, skakała i trzęsła mną niemiłosiernie, niema słów w moim języku na określenie podobnych cierpień. Na domiar złego, Stefcia widocznie gadatliwa bardzo, rozmawiała ciągle, języczek jej był w nieustannym ruchu, a ja przy tylu innych dolegliwościach zmuszony byłam słyszeć bezustannie niemiłe brzęczenie jej piskliwego głosu. O czem mówiono? nie wiem, zanadto zajmowały mnie własne smutne myśli, ażebym mógł uważać na czczą pa-

planinę ludzi, zresztą nie grzeszę zbytnią ciekawością. Nareszcie skończyły się moje utrapienia, wszystko na świecie koniec mieć musi, prawda to wesoła i zatrważająca zarazem: w chwilach szczęścia jest nam postrachem, w godzinach smutku, osłoda i ukojeniem.

Dziewczynka zatrzymała się i jednocześnie prawie usłyszałem głos pani:

— Stefcu, zanieś tę lizskę Celi na górę.

Ach dowiem się ostatecznie jaki los będzie moim udziałem, pomyślałem wzruszony; ale cóż to za góra? kto Cela, o której mowa? Wątpliwości moje rozstrzygnęły się niedługo. Uczulem się unoszonym z jeszcze straszliwszymi wstrząśnieniami, zdawało mi się, że Stefcia rzeczywiście wchodzi na ogromną górę, podskakując za każdym krokiem. Ach! jeszcze jeden skok, jakieś przeraźliwe skrzypnięcie i Stefcia zatrzymała się znowu.

— Czego chcesz Stefcu? wiesz, że ci nie wolno przeszkadzać w czasie lekcji — odezwał się straszny, surowy głos przypominający grzmoty, jakimi natura rozbrzmiewa w czasie letnich upałów. Przejął mię dreszcz śmiertelnej trwogi, ale Stefcia śmielszej natury widocznie, nie zatrwożyła się wcale a nawet roześmiała.

— Przyniosłam coś — rzekła tajemniczo.

— Co takiego? — powtórzył groźny głos, ale znacznie łagodniejszym tonem.

— Proszę zobaczyć — zapiszczała Stefcia z nowym wybuchem śmiechu.

W tej chwili zostałem mocno podrzuconym w górę i z jękiem spocząłem na czemś niezwykle twardem, a przeraźliwe skrzypnięcie i odgłos charakterystycznych podskoków oznajmiły mi, że pierwsza moja prześladowczyni odeszła tą samą drogą, którą przed chwilą przebyliśmy wspólnie.

Uczulem się znowu podnoszonym, ściskany, trzęsionym, wreszcie ujrzałem światło dzienne, ale jakże odmienne od tego, którem się rozkoszowałem na wolności! Przyćmione jakieś, blade i niepewne światło, a i powietrze zdawało mi się tak dziwnie duszne, jakby ściśnione, jakby go było za mało w tej zamkniętej zewsząd przestrzeni.

Obok mnie stały trzy panienki różnego wieku z wejrzeniem zwróconem w tej chwili na mnie z natrącającą ciekawością.

— Cóż to? robak jakiś? — zawołała najmłodsza dosyć pogardliwie.

Zawrzałem gniewem i z oburzeniem odwróciłem się od tak nierozgarniętej istoty. Robak!... nazywa mię robakiem!... Co za nieświadomość, jak można nieuznawać różnicy istniejącej między gatunkiem robaków, i tych nędzarzy zwierzęcego świata, a szlachetnym rodem owadów? To oburzające rzeczywiście.

Na mój gniewny ruch obrażonej godności własnej powstały głośne krzyki i wołania: — Ach jaka zła lizska.

— Jak się skręca! Ale wcale ładny okaz, bardzo ładny.

— Tak prędko idzie, zabawne stworzenie.

Za to „zabawne stworzenie” miałem ochotę znowu się obrazić, gdyż przyznasz sama, szcypawko, że to niezbyt miło być uważanym za przedmiot śmiechu, ale

szczęśliwie przysłała mi na myśl bardzo rozsądna uwaga, że w niewoli rozumnie jest przyjmować wszelkie obelgi z filozoficznym spokojem; jeśli bym chciał gniewać się o wszystko, nie zyskałbym nic, a stracił zdrowie z pewnością, tak więc postanowiłem uzbroić się w lodowatą obojętność i nie zważać wcale na wszelkie ubliżające mi słowa.

Przejęty tem roztropnem postanowieniem chodziłem sobie najspokojniej po równej, twardej i nader nie miłej w dotknięciu płaszczyźnie, podczas gdy trzy głosy łączyły się i krzyżowały ciągle wzajemnie, tworząc chór nadzwyczaj żywej, prędkiej i nieprzyjemnie brzmiącej rozmowy, aż wreszcie ten przypominający grzmoty zapanaował nad dwoma innymi donośnie:

— Dzieci, dosyć zabawy, nie można tracić czasu, bo nie skończymy lekcji. Zosiu idź po liście, Janiu, przynieś jakie pudełko, urządzimy naszej lizsce mieszkanko.

Wkrótce wszystko się znalazło i panienki zabrały się do dzieła z pośpiechem, na którym ja znowu nie najlepiej wyszedłem: złożono mię do jakiejś czarnej, zapchanej liśćmi jaskini przysłoniętej z góry olbrzymim głazem, odbierając mi tym sposobem ostatnie promienie światła. Ach! w tej ciemnicy dopiero przekonałem się, jak nieocenionym skarbem jest wolność i rozpacz moja nie miała granic.

Nie wiem jak długo przeleżałem w mojem ponurem więzieniu, głód mi dokuczał, ale zepsuty przysmaczkami jakimi się dotychczas żywiłem, odrzuciłem z pogardą wykwintnego smakosza twarde, skórkowate listki bzu, wreszcie znużony wzruszeniem i doznaniem przygodami, zapadłem w spoczynek przerywany ciągle niepokojącymi snami. Zdawało mi się, że powtórnie przebywam straszną drogę w ręku swawolnej Stefci, że podrzucają mnie nielitościwie z góry na dół i przyciskają głazem zakrywającym moje ciemne mieszkanie. Wkrótce jednakże niemiłe te mary zastąpiły słodkie obrazy minionego szczęścia. Widziałem się znowu na wolności, w ogrodzie, wśród miękkich, kwiecistych trawników, owady brzęczały, ptaszki świegotały, a konik polny śpiewał i wyskakiwał wesoło jak na początku mego opowiadania, wtem... ziemia się zatrzęsła i usłyszałem ponury, oddalony huk grzmotów. Zerwałem się wylekły, a to sroga panienka stała nademną.

— Trzeba wypuścić lizskę, niech trochę pochodzi — rzekła, odsuwając ciężki głaz z nad mego więzienia.

(d. c. n.)

ZAGADKI.

Znajdziesz mnie zarówno w ubraniu kobiety
U bryczki, powozu, lecz nie u karety.

Mam trzy części: to czarny bywam, to czerwony,
Na sos dobry, na zupę, na potrawy.
Zmień mi głowę: czy czarny będę, czy czerwony,
Nigdy nie kładź mnie w ogień dla zabawy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

Szarady:

S z a r a d a.

Łamigłówki literowe]

W a r s z a w a.

Skrzynka do listów.

Jak najchętniej przekonuję świat cały, **Biała Ostróżko**, że serdeczna zgoda panuje między nami i na dowód jęj daję żądaniego całusa. Lubię jak kto, tak jak ty, czyta: z przeczytanych rzeczy wyciągając sens, który się da w moralném lub w praktyczném życiu zastosować. Ach, moja droga, „rozsądni i doświadczeni” rodzice, to łaska Boża za którą nie dzieci już, ale dorośli ludzie co dzień Bogu na kolanach dziękować powinni! Nagrodę dostałaś, kochana moja, oby ei przyjemność sprawiła. Piszę na wsiadaniu już prawie; wyobraź sobie, biorą mnie za granicę nad morze! Anim się tego spodziewała. Na listy, które przyjdą podczas mojej nieobecności, Dobra Pani odpisywać przyrzekła; ja z drogi pisywać do was będę o różnych ciekawych rzeczach, jakich tak wiele zobaczę. Ciebie, a z Tobą i was wszystkich żegnam na czas jakiś serdecznym uściskiem *Wędrowną* ale nie zapominającą o was *Gołąbką*.

W imieniu nieobecnej *Gołąbki* odpowiadamy jęj korespondentkom **Jodełce z nad Noteci, Trawce z nad Tryby, Jaskółce z nad Sekwany i Czeskiej Niezabudce**. *Jodełko* droga, wszelkie rozstanie jest bolesnem, ale męstwo chrześcijańskie wszędzie żyć uczy i każe: Pracą i zajęciem utulisz tęsknotę. *Trawka* odbyła śliczną wycieczkę ale i *Gołąbka* pochwali się wam swoją. Pierwszy raz wyjechała w dalszą podróż i lada dzień czekamy listu od nięj. Adres do *J. G.* sprostujemy; powodzenia w naukach winszujemy serdecznie ciesząc się zadowoleniem, jakie sprawić ono musiało medalistce aż trzema medalami ozdobionej w Sorbonie. Żądany numer pošlemy. **Czeska Niezabudka** tak barwnie opisuje równiny nad - dniprzańskie, że nam się je widzieć zdaje. Że ma przytem i najpoczeiwsze w świecie serduszek, to oddawna już wiemy i za to serce złote kochamy dawną i wierną przyjaciółkę naszego *Pisemka*.

Jaskółce z Czerwonej Rusi żądany „Teatr amatorski” przez *M...*a posłaliśmy, na który wraz z przesyłką wyłożyliśmy rs. 1 kop. 20.

P. Malinow. Ekaterinod. Historię *Zdanowicza* posłaliśmy, która wraz z przesyłką kosztuje rs. 2, początek zaś 16-letniego *Wojewody* kop. 30.

Topolce z nad Kodemy oraz **An: Kr.** żądane numera posłane. **Niezabudka z nad Chomoru** nadesłała dobre rozwiązanie, za to **Julcia Ł.** przysłała nam łamigłówkę bez rozwiązania, o które prosimy, by nie mamy czasu na sprawdzanie przysyłanych nam zagadnień.

Dziwimy się trochę, że kochany **Filozof** tak stanowczo oświadcza się przeciw kwiatom. Królówicz *Zielonko* ma wszakże i drzewa w państwie swoim...

Kochanej **Trawce z nad Fryby** serdecznie dziękujemy za ofiarę dowodzącą współczucia dla biednych dzieci, zmuszonych dusić się całe lato w miejskim upale. Dr. *Fritsche* pragnie wysłać na wieś jeszcze jedną partję dzieci i w tym celu znova się odwołuje do ofiarności publicznej.

Nie wątp o tem, *Jodełko z nad Noteci*, że „kącik” dla ciebie zawsze w sercu znajdziemy. Miło nam zawsze dowiedzieć się, że otrzymana nagroda przyjemność wam sprawia.

Marszałkowa nietylko poważną, ale i poczeiwego serduszką jest osobą, gdy nie szczędząc pracy, do konkursu robót stanęła. Serdecznie witamy ją w gronie korespondentek naszych.

Wiel: Dr: Ad: Bar. Pierwszego żądania nie odebraliśmy wcale; numer potrzebny wysłany.

Droga **Jaskółko** z nad *Sekwany*! Dowiedziałam się że dość często bywasz w rozmawialni, i mam obiecanę od pierwszej mistrzyni, że zapozna mnie z tobą, z czego się niezmiernie cieszę. Zawsze ci życzliwa choć nieznana *Jeżynka Wersalska*.

Kochane moje: *Kulko* śniegowa i *Ako*. Piszę do was pierwsza po długim milczeniu. Ciebie *Kuleczko* zapytuję wiele masz lat, gdzie się uczysz i gdzie mieszkasz? A ty *Ako* donieś mi proszę co ma znaczyć twój pseudonym i dla czego go sobie obrałaś? Przesłałam wam szczere uściśnienia życzliwa *Radomianka*.

Miła *Cyganecko* z nad *Wisły*! Zdaje mi się żeśmy się znały proszę cię więc o bliższe szczegóły. Czy twoje nazwisko od *P.* się zaczyna? Gdzie mieszkałaś, w *Grodzisku*? Czy znasz moich krewnych, to jest dzieci *d-ra B.* Droga *Wiedenko* z żywopłotu, dla czego zmieniałaś twój dawniejszy śliczny pseudonym? Co do mnie uczę się w domu a do konkursu nie wiem jeszcze czy należyc będę. Całuję was serdecznie i oczekuję odpowiedzi, *Czarodziejka*.

Droga *Pedantko* z nad *Nidy*! Donieś mi co porabiasz i jak ci idą nauki? Czy zawsze z równym zapalem czytujesz „*Wieczory*”? Moje upodobanie do nich ciągle wzrasta. Czy będziesz należała do tego konkursu? Jeżeli pojedziesz do *Żegestowa*, może się spotkamy w *Krakowie*. Będę tam w przejeździe do *Zakopanego*. *Muchołówka*.

Drogi moje: *Psotnico*, *Jesieni* i *Biała Ocho*! Dzięki serdeczne zasylałam wam za liściki, Mieszkam doprawdy w *R. Biała Olcho* ale nie mogę zgadnąć kim jesteś ani kto są ci państwo, czekam bliższych o tobie wiadomości. Jak wam się podoba miłe przyjaciółki „*Z wyspy Atlanty*”? mnie nadzwyczaj; czy należycie do konkursu? Wasza oddana *Halka z Litwy*.

Kochana *Ako*! Proszę abyś nadal chciała do mnie pisywać Czy znasz którą korespondentkę *Wieczorów*? Ja znam trzy. Czy dużo masz rodzeństwa? gdzie się uczysz? jaką naukę lubisz najwięcej? Ja literaturę i teorię poezji, chociaż lubię też i fizykę Przyjm serdeczne uściśnienia od kochającej *Niezapominajki z nad Warty*.

Droga *Piszczalko* z nad *Ussy*. Twój list sprawił mi niezmierną radość. Żałuję cię bardzo, że do konkursów należyc nie możesz, jest to wielka przyjemność. Na ostatnim otrzymałam nagrodę. Ściskam cię i proszę o prędką odpowiedź. Twoja *Jaskółka z nad Ussy*.

Moja droga *Czarnuszeko* z *Mroczkowa*! Zapomniałaś, że już dwa lata temu donosiłam ci że mam lat 15, na imię mi *Anie* mieszkam w *Mińskiej gubernii*. Odpisz mi i donieś cokolwiek o sobie. Ściskam cię serdecznie. *Blada Różyczka*.

Białej *Różyczce* z *Wołynia* przesyłam uprzejme pozdrowienia Kochana *Kuropatewko* z nad *Warty*? Chociaż jestem o wiele starszą, bo mam już lat 12, ale pisywać do ciebie będę z największą przyjemnością. Na imię mi *Janisia*, mieszkam w *Żytomier* mam dwóch młodszych braciśzków. Szczosio i *Romcio* uczą w domu, ja wolne chwile od nauki i roboty poświęcam na pielęgnowanie własnego ogródka. Również jak ty mam małe kacuszki dwa pieski: *Wilcie* i *Sirka*, a także małego faworyta koteczko Kończę mój list posyłając ci serdecznego całuska. *Czarna Perelka*

Kochana *Pieszczotko* z małego ogródka! Chociaż już dawna czytam *Wieczory*, jednak jak i ty jestem ich nową korespondentką, dla tego też piszę do ciebie. Na imię mi *Marya*, mam jedenasty, lubię bardzo kwiatki i ptaszki. Mam kanarka wielkiego śpiewaka. Proszę cię odpisz mi prędko. *Jaskółka z nad Wilii*.

NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Złota rybka kop. 50. — Gwiazdka na zachodzie złr. 1. *Trawka z nad Tryby* w prus. mon. mark. 1.